



KAREN SWAN

*Spotkajmy się
w Rzymie*



BUKOWY LAS

Prolog

Rzym, listopad 1989

– Kochanie? – Zapukał do drzwi i przystawił do nich ucho, usiłując wyłować codzienne dźwięki urzędowania żony w apartamentach: lejąca się do wanny woda, ciche skrzypienie drzwi szafy przy jej otwieraniu i zamykaniu, słodkie nucenie pod nosem podczas ubierania się. – Eleno?

Odczekał jeszcze kilka chwil, po czym wszedł do środka. Zasłony były odsunięte, lampki nocne zapalone, a niewielkie zagłębienie na łóżku oraz pomięta poduszka świadczyły o tym, że jego żona niedawno leżała tu podczas drzemki.

Uśmiechnąwszy się do siebie, odwrócił się i już chciał wyjść, gdy jego wzrok przykuł przedmiot, który aż się prosił o to, by zostać zauważony. Zawrócił, podszedł do toaletki i podniósł go. Pierścionek jeszcze był ciepły od jej ciała. Potarł kciukiem kamienie, po czym zbliżył je do ust i złożył na nich delikatny pocałunek.

„Musiała zapomnieć założyć go po kąpeli”, pomyślał, po czym wsunął pierścionek do kieszeni i postanowił poszukać żony w bibliotece.

Musi być...

Niewielka kartka leżała niedbale wsunięta pod talerzyk z pierścionkiem. Normalnie by jej nie zauważył, ale gruby

kryształ zadziałał jak szkło powiększające, a on wszędzie rozpoznałby to pismo. Wyjął kartkę, a jego oddech stał się coraz cięższy, gdy czytał tekst i zaczynał wszystko rozumieć.

A potem zaczął biec.

Rozdział 1

Rzym, lipiec 2017

– „Bursztynowe światło i wróble”, tak napisała – przeczytał Matteo i odłożył telefon na stół.

– To właśnie podoba ci się w tym mieście najbardziej? – spytała z niedowierzaniem Alessandra.

– I to dostało więcej polubień niż jakikolwiek inny post! – Cesca się roześmiała, unosząc dłonie ku rozgwieżdżonemu niebu. – No co mam ci powiedzieć?

– No cóż, ja bym cię chętnie uświadomiła, że większość ludzi wybrałaby Koloseum albo Forum, albo Panteon – odpowiedziała ironicznie Alé. – Nawet handlarze sprzedający róże na Schodach Hiszpańskich mają większe powodzenie niż te małe brązowe ptaszki, które żerują na talerzach turystów.

– Oj, ale większość ludzi nie ma wyobraźni. Ja się nie bawię we frazesy. Być może właśnie dlatego tak bardzo lubią mój mały blog.

– Nie taki znowu mały – nie zgodził się Matteo. – Liczba obserwujących cię rośnie tak szybko, że ani się obejrzysz, jak zaczną się do ciebie dobijać reklamodawcy, a stąd już tylko krok do wielkiej kasy.

– Serio? No cóż, mogliby się trochę pospieszyć... – zażartowała Cesca.

Ale to prawda, że *Spotkajmy się w Rzymie* – jej blog, w którym oddawała hołd starożytnemu światu, ulubionemu serowi

pecorino i *la dolce vita* – w ostatnim czasie zyskał na popularności. Była z tego powodu wniebowzięta, a jednocześnie zdumiona. Od czasu opublikowania pierwszego wpisu przed siedmioma miesiącami zyskała rozgłos, pisząc o wszystkim, poczynawszy od lokalnych producentów miodu na Awentynie, skończywszy na jej ulubionych sklepach ze starociami. Dzieliła się w nim także anegdotami ze swojego życia w roli przewodniczki turystycznej.

Guido się uśmiechnął, a jego opalona skóra zaśniła w złotym blasku padającym z latarni.

– Cóż, przynajmniej wiadomo, dlaczego musiałaś zerwać z poprzednim życiem. Od kogoś, dla kogo Rzym jest definiowany przez jego światło, nie można oczekiwać, że odnajdzie się w surowym świecie brytyjskich sądów.

– Dziękuję, Guido – powiedziała z wdzięcznością Cesca i uniosła w jego kierunku trzymany w dłoni kieliszek. – Wypiję za to.

Wszyscy wstali, dołączyli do niej i opróżnili kieliszki z grappą, po czym usiedli na swoich miejscach, odprężeni i z uśmiechami na ustach.

Właśnie dobiegał końca kolejny piękny wieczór. Gorące powietrze muskało ich rozgrzane twarze, a zapach jaśminu unosił się wokół nich jak puder, który oprószył niebo. Ucztowali przy daniach złożonych z makaronu i ryb. Było po dwudziestej drugiej, ale w Rzymie to wciąż młoda godzina, więc wszystkie stoliki w restauracji były zajęte. Dla niej również nie było późno, zwłaszcza teraz.

– I co teraz? Idziemy do Zizi? – spytała Alé, oparłszy się na krzesło. Zebrała swoje czarne włosy w kucyk, eksponując przy tym szczupłe ramiona w kamizelce khaki. – Gra tam dzisiaj ten zespół. No wiecie, ten, który poznaliśmy w czerwcu w Rock in Roma.

– Ten z tą seksowną wokalistką? – dopytywał Matteo z zainteresowaniem, które okazywał zawsze, gdy w grę wchodziły atrakcyjne kobiety.

– Hm, uważam, że owszem, niezłe z niego ciacho. – Alé się roześmiała, pozwalając opaść włosom na ramiona. – Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że lubisz brody.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Matteo uchylał się przed serwetkami, którymi został obrzucony.

– Myślałem, że mówisz o...

– Wiem, wiem, o tych trzech siostrach.

– Jestem za Zizi – stwierdził Guido. Był zwolennikiem bród.

– Ja odpadam, przykro mi – powiedziała Cesca i sięgnęła po stojącą u jej stóp torebkę. – Mam umówioną grupę na szóstą rano, muszę wstać przed piątą.

– Nudziarstwo. – Alé skrzywiła się, obserwując Cesce, która wzięła ze stolika rachunek i bezgłośnie poruszając ustami, obliczała swoją część.

– No co ty nie powiesz – odezwała się po chwili, przewracając oczami. – Niestety czynsz nie chce płacić się sam.

Alé się skrzywiła.

– Nie mogę uwierzyć, że musisz płacić za to mieszkanie – zażartowała, po czym uśmiechnęła się zalotnie do kelnera, który podszedł do ich stolika z kolejną porcją trunków.

– Ja dziękuję. Tak się składa, że uważam, iż jest urocze. Powinnaś zobaczyć, co dostałabyś za równowartość tego czynszu w Londynie. A tu przynajmniej wszystko jest... – Cesca zmarszczyła brwi. – Jak powiedzieć „czarujący”? No wiecie, jak się mówi o czymś małym, słodkim i starym?

Wszyscy chórem przetłumaczyli to słowo na włoski.

– No, właśnie. – Cesca skinęła głową, grzebiąc w torebce i marząc o tym, by jej włoski był przynajmniej w połowie tak dobry jak ich angielski. Może gdyby należała, by mówiono do niej wyłącznie po włosku, zrobiłaby większe postępy, ale podejrzewała, że wtedy nie śmiałyby się tak często i nie bawiła tak świetnie.

– Ale mówiłaś, że w nocy, kiedy śpisz, biegają ci po twarzy karaluchy – przypomniała Alé, wzruszając ramionami.

– Tylko raz. I to było w pierwszym tygodniu. Teraz już je wszystkie wytepiłam.

– I kiedy przechodzisz przez pokój, światło migocze – dodał Matteo. – I masz czarno-biały telewizor, jedyny działający w całym kraju.

– W całej Europie – poprawił go Guido.

Matteo spojrział na niego.

– Właśnie.

– I na dodatek śmierdzi tam koniem – zauważyła Alé, marszcząc nos.

– Nic, czego nie można załatwić świecą zapachową, poza tym muszę wam powiedzieć, że wszyscy uważają, że mój czarno-biały telewizor jest dizajnerski, tak samo jak kraftowe piwo i hipsterska broda Guida – odparła z uśmiechem, po czym pogłaskała czule brodę chłopaka, jakby ten był irlandzkim terrierem. Nigdy nie widziała go bez brody, nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jak by wyglądał, gdyby się ogolił. Byłby pewnie jakby nagi. – Poza tym mam tam wannę...

– Faj! – skrzywił się Matteo. – Co jest z tą angielską obsesją wylegiwania się we własnych brudach?

– To odprężające! Chciałabym widzieć, jak poradziłyś sobie podczas zimy w Anglii. Na uniwerku kąpiel w wannie była czasami jedyną możliwością rozgrzania się. – Wzięła głęboki oddech, gdy spojrzała na ich uśmiechnięte twarze wpatrujące się w nią i upajające się tym, jak się przed nimi tłumaczy. – Poza tym wy też nie mieszkanie w penthouse'ach – fuknęła, czym wzbudziła kolejny wybuch śmiechu.

– Zostań przynajmniej na jeszcze jednego drinka – namawiała ją Alé.

– Naprawdę nie mogę – odpowiedziała Cesca, pochylając się nad każdym z nich i żegnając się całusem w policzek. – Ostatnio wykorzystałam już swoją pulę szczęścia, a sama wiesz, jaka jestem o poranku.

– Chętnie bym się przekonał – skomentował ze śmiechem Matteo, prężąc ramiona i plecy, by zaprezentować swoje imponujące mięśnie.

– Jesteś niemożliwy. – Uśmiechnęła się. – Potrzebuję tej roboty. Mam już dziury w butach od chodzenia, a nie mogę sobie pozwolić na nową parę. – Na dowód tego podniosła nogę i zaprezentowała im znoszoną podeszwę żółtych conversów.

– Ale na wino do kolacji najwyraźniej cię stać – zauważył Guido, wskazując stojącą pustą butelkę po winie.

– Oczywiście. Priorytety, skarbie – zażartowała.

– Myślałem, że buty powinny do nich należeć – wtrącił się Matteo, przyglądając się siedzącym przy stole. – Reszta twojej garderoby też się rozpada.

– Hej! Nie znasz się na vintage – zripostowała Alé w ramach solidarności. – Wydaje ci się, że jak coś nie jest prosto od Gucciego, to trzeba to uznać za śmieć.

Wzrok chłopaka powędrował do dziury z boku białej bawełnianej edwardiańskiej koszulki na ramiączkach. Cesca zakryła ją dłonią.

– Po prostu mają duszę, to wszystko. – Roześmiała się, zdejmując z oparcia krzesła swoją (nadgryzioną przez ząb czasu) panamę. Założyła kapelusz i rozeszła wszystkim całuski. – Do zobaczenia, *amigos*. Jesteście najlepsi. Zadzwońcie do mnie! – Uśmiechnęła się i machając im na pożegnanie, skierowała się do drzwi.

Głosy jej przyjaciół, którzy wrócili do dyskusji na temat pójścia do klubu, wkrótce wtopiły się w restauracyjny gwar.

Droga do domu nie była długa. W Rzymie właściwie wszędzie było blisko. Przeszła przez Piazza di San Cosimato, na którym stoły straganowe były poukładane w stosy i skute łańcuchami czekały na kolejny dzień handlowy, i weszła w labirynt krętych, wąskich uliczek, gdzie budynki wręcz znikają pod krzaczastymi fasadami jaśminu i bluszczu. Wszędzie były tłumy ludzi, stoliki zepchnięto pod ściany, by zrobić miejsce limuzynom pędzącym z lotniska, skutery ustawiono w równych rzędkach jak klocki domina, a z otwartych okien sączyła się muzyka.

Jej mieszkanie w Centro Storico, ukryte w gąszczu uliczek pomiędzy Piazza Navona a Campo de' Fiori, może nie było modnym adresem, jak mieszkania jej przyjaciół na Zatybrzu – gdzie artyści, projektanci i hipsterzy przesiadywali w nocnych barach i restauracjach – ponadto swoją obecnością zaniżała średni wiek mieszkańców o jakieś czterdzieści lat,

ale znajdowało się w samym centrum, co bardzo ułatwiało jej docieranie do pracy. Tak dużo chodziła, zarabiając na życie, że ostatnie, o czym marzyła, to kolejna wędrownka do pracy czy z powrotem do domu.

Poza tym nie lubiła podążać za modą. Nosiła ubrania w stylu vintage, co było najlepszym tego dowodem. Jako nastolatka słuchała Patti Smith i Carly Simon, gdy jej rówieśnicy zachwycali się McFly. Szybko się pogodziła z tym, że jej kręconej grzywy w kolorze truskawkowego blondu (no dobra, rudym) nie da się ujarzmić prostownicą i że ze wzrostem niemal metr osiemdziesiąt nie jest w stanie wtopić się w tłum. Więc tak, być może w jej mieszkaniu znajdowały się karaluchy i szwankowała elektryczność, za to miała cynową wannę, a ściany w kuchni i łazience były wyłożone oryginalnymi turkusowymi płytkami z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Z maleńkiego tarasu na dachu – niewiele większego od stołu – rozciągał się widok na dachy innych budynków i co najmniej siedem wież kościelnych (w niedzielne poranki uwielbiała słuchać dzwonów). A najlepsze było to, że jej lokum znajdowało się przy wyjątkowo małym i cichym placu, w pobliżu gwarnej Piazza Angelica, i było tu wszystko, czego potrzebowała: zacieniona osteria w jednym rogu, naprzeciwko niej pizzeria, a po sąsiedzku najlepsza piekarnia w Rzymie. Obok osterii rosło krzaczaste drzewo figowe, a pośrodku placu antyczne drzewo oliwne, którego gałęzie kołysały się na wietrze jak tancerki hula. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła to miejsce, od razu poczuła się jak w domu.

Niewielkie place przechodziły w wąskie uliczki, gdy szła pod rozciągającym się nad jej głową nieboskłonem, a srebrne światło księżycza otulało śpiące ulice. Jej stopy w znoszonych conversach cicho stąpały po bruku, w jej głowie kłębiły się myśli dotyczące jutrzejszej wycieczki i historii, które musiała mieć na podreździu, jeśli miała dobrze wykonać swoją pracę. Jej praca tutaj i codzienne życie nadal były dla niej nowością. Stary świat był jak odległy sen, jak historia, którą ktoś jej opowiedział, a nie coś, co kiedyś należało do niej, dotyczyło jej, określało ją.

Skręciła na mały placyk, Piazzetta Palombella, i minęła osterię Antico, jak zawsze pełną gości, chociaż nie przyjmowali rezerwacji, nie mieli dań specjalnych ani nawet menu – podawali to, co signor Accardo ugotował, a jego żona przyniosła do stolika. Przechodząc obok, Cesca pozdrowiła gestem dłoni signorę Accardo, która miała na sobie tradycyjny długi czarny fartuch i zносиła naczynia do kuchni.

Po przeciwnej stronie placu, przed pizzerią Franco, jak zwykle kolejka wylewała się przez otwarte drzwi. Słysząc było głośne rozmowy i nawoływania ludzi, którzy przyglądali się, jak kucharz podrzuca ciasto, ćwicząc przy tym akrobatyczne umiejętności, a płomienie z pieca opalanego drewnem rzucają na ulicę blask godny zmagania gladiatorów. Lokal założony przez Franca Luciano, który był przedstawicielem trzeciego już pokolenia *pizzaiolo*^{*}, był teraz zarządzany przez jego sześciu synów, którzy przyciągali klientów tak samo jak słynne już ciasto Luciano. Trudno było ich rozróżnić – wszyscy mieli gęste czarne czupryny, białe zęby, brązowe oczy i oliwkową skórę, ubierali się i zachowywali niemal identycznie: krzyczeli i dziko gestykulowali, ugniatając, walcząc i podrzucając ciasto. Cesca stwierdziła, że prędzej opanuje do perfekcji język włoski, niż nauczy się ich imion. Pracowali instynktownie, zręcznie obsługując trzymetrowy piec. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że przyrządzanie pizzy jest tak wirtuozerską umiejętnością, dopóki nie przyjechała tutaj i nie zobaczyła, jak ci mężczyźni poruszają się z mistrzowską wprawą, a ich bicepsy napinają się pod krótkimi rękawami białych, obcisłych koszulek.

Ricci, najstarszy syn Franca, zauważył ją, gdy wyjmował jeden z pojemników, i ją pozdrowił. Odmachała mu, czując się wdzięczna za to, że jest częścią tej sąsiedzkiej wspólnoty.

Weszła na schody, które prowadziły do jej mieszkania – musiała ostrożnie stawiać kroki, by nie strącić doniczek z geranium, które na każdym stopniu ustawiła jej gospodyni,

* *Pizzaiolo* (wł.) – określenie osoby zajmującej się wyrabianiem pizzy (wszystkie przepisy pochodzą od tłumaczki).

signora Dutti, wdowa mieszkająca na dole. Już od siedmiu miesięcy każdego ranka budziły ją odgłosy zamiatania schodów o siódmej czterdzieści, dźwięki podnoszenia i odstawiania doniczek, które były włoskim odpowiednikiem brzęku chińskiej porcelany śniadaniowej.

W jej mieszkaniu było chłodno i ciemno, w oknach wisiały firanki w stylu vintage. Otworzyła okiennice, pozwalając nocnej bryzie wpaść do środka i poruszyć zastawę dzienne powietrze. Pokryta terakotą podłoga przyjemnie chłodziła jej stopy, gdy oswobodziła je z conversów i przeszła przez otwartą salonowo-jadalnianą przestrzeń do ciemnej miniaturowej kuchni, gdzie nalała sobie szklankę wody i pokroiła brzoskwinię na talerzyku. Włączywszy telewizor, przeskakiwała po kanałach, aż w końcu trafiła na powtórkę serialu o detektywie Montalbano. Potem poszła do łazienki i odkręciła wodę, by napełnić wannę – jej cowieczorny rytuał, niezależnie od tego, jak bardzo kpili z niej przyjaciele.

Siedząc na brzegu kanapy i powoli jedząc brzoskwinię, oglądała strzelaninę, a w tle szum wody lejącej się do wanny zamieniał się w plusk. Potrafiła ocenić, nie patrząc, kiedy wanna jest idealnie wypełniona, i gdy osiągnęła ten punkt, zakręciła kran.

Na talerzyku została już tylko pestka po brzoskwini, zabrała go więc do kuchni, opłukała, a pestkę wyrzuciła do worka na śmieci. Podniósłszy go ostrożnie, mając w pamięci, że wczorajsze resztki płatków na mleku zawierały więcej mleka niż płatków, podeszła z workiem do drzwi, przęcając mięśnie, by utrzymać worek nad podłogą. Gdy ponownie wsuwała stopy w trampki, przygniatając cholewki, by nie musieć ich sznurować, odwróciła się i – oczywiście – zobaczyła duże białe krople mleka na kafelkach. Nie dbając o zachowanie ciszy, popędziła w dół, przeklinając pod nosem, gdy nagle uderzyła workiem o jedną z doniczek, ta przewróciła się na bok, a ziemia rozsypała się na schodach.

Skręciła w lewo w jedną z maleńkich alejek pomiędzy jej budynkiem a piekarnią, uniosła wieko dużego kontenera na śmieci i wyciągnąwszy rękę najwyżej, jak się dało, by jednym

ruchem wrzucić do środka worek, wstrzymała oddech – smród był jak zawsze obezwładniający.

Zauważywszy przedmiot leżący na workach w kontenerze, zmarszczyła brwi. Odstawiła swój worek na ziemię, sięgnęła do środka i wyciągnęła damską torebkę. Wyglądała na całkiem nową i drogą. W stylu kopertówki, uszyta z pastelowo-szarej skóry, z usztywnianymi bokami i ręcznie wykonanymi ozdobnymi przeszyciami. Cesca nie była specjalistką od mody, ale nawet ona potrafiła rozpoznać, po zapięciach w kształcie bambusa, że to Gucci. (W jej starym życiu torebki mocy od świętej trójcy – Gucci, Prada lub Céline – były jednym z charakterystycznych akcesoriów jej koleżanek po fachu, sposobem na zakomunikowanie własnego sukcesu, podczas gdy inne atrybuty, takie jak zegarek, garsonka czy dwutygodniowe pasemka od Hershiesona, były schowane pod peruką i togą). Potarła kciukiem skórę – była elastyczna i giętka; skóra jagnięca. „Nie wygląda na podróbkę i nie pachnie jak ona”, pomyślała Cesca, wciągając w nozdrza bogaty aromat skóry. „Skąd, na litość boską, się tu wzięła?”

Natychmiast zrozumiała skąd.

Zapominając o wielkim, ciekącym worku na śmieci stojącym u jej stóp, otworzyła torebkę. W przeciwieństwie do jej własnej, w której panował nieziemski bałagan, ta była niemal rozczarowująco ascetyczna – szczotka do włosów (na której nie było ani jednego włosa), puder Chanel Les Beiges, miniaturowa buteleczka perfum od Annick Goutal i kilka wizytówek spiętych srebrnym spinaczem biurowym. Zastanawiające było to, czego tam nie było – portmonetki i telefonu. Wyglądało na to, że złodziej ukradł torebkę, zabrał to, czego potrzebował, i wyrzucił ją przy pierwszej nadarzającej się okazji. Gdyby został zatrzymany, byłby to obciążający go dowód.

A jednak nawet bez gotówki czy kart kredytowych torebka była warta z tysiąc euro. Tyle że bez dokumentów nie było możliwości zwrócić ją właścicielce. „Co teraz?”, zastanawiała się. „Czy policja będzie w stanie coś zrobić, czy może znalezisko należy do znalazcy?” Nie żeby kiedykolwiek posiadała taki

przedmiot. Torebka wyglądała, jakby należała do kobiety, której włosy codziennie układa fryzjer, która manicure uważa za filar cywilizacji, a do śniadania zakłada diamenty. Czy Cesca mogłaby ją sprzedać? Potrzebowała pieniędzy, a...

Nagle przysła jej do głowy pewna myśl – może ta torebka ma jakiś numer seryjny, taki jak samochody albo rolexy, po którym można zidentyfikować właściciela? Jedna z osób w sądzie, w którym pracowała, była szczęśliwą posiadaczką modelu Birkin Hermès i miała taką małą kartkę z różnymi numerami identyfikacyjnymi. Jeśli tę torebkę wyposażono w coś podobnego, Cesca będzie w stanie ją zwrócić. To rozwiązanie pasowało jej bardziej niż czerpanie korzyści z czyjegós nieszczęścia.

Rozpięła boczną kieszonkę. Z zewnątrz wydawała się pusta, jednak w środku coś się znajdowało. Wyjęła małą, niebieską, zaklejoną kopertę, której brzegi były zniszczone i postrzępione, a z przodu eleganckim pismem ktoś napisał: „Elena”.

Cesca przygryzła wargę. Czy to było imię właścicielki torebki, czy osoby, do której zaadresowano kopertę?

– *Buona notte*, Cesca.

Podniosła wzrok i ujrzała signorę Dutti, która podlewała niezliczone doniczki stojące przed drzwiami jej mieszkania, dając roślinom pić teraz, kiedy dzienny żar już nie mógł zaszkodzić liściom. Miała na sobie granatową podomkę, której chyba nigdy nie zdejmowała, stopy wsunęła w sandały marki Scholl, a na włosy założyła siatkę, która miała utrzymać do rana wálki.

– *Buona notte*, signora. – Cesca się uśmiechnęła, niechcący machnąwszy do niej trzymaną w ręce torebką.

Zauważyła, że gospodyni zwróciła na nią uwagę – jakoś i wartość przedmiotu były widoczne nawet z daleka, zwłaszcza dla starszej pani o sokolim wzroku.

– Och. – Kobieta szybko do niej podeszła.

– Właśnie znalazłam ją w śmietniku.

Signora Dutti potrząsnęła głową i się skrzywiła.

– Złodzieje.

Odstawiła konewkę i wzięła do ręki torebkę, której gładka, jasna skóra kontrastowała z pomarszczoną i pokrytą plamami dłonią gospodyni.

– Tak, niestety zabrali ze środka wszystko, co miało jakąś wartość: portmonetkę, telefon... Ale torebka wygląda na dość drogą, ktoś pewnie będzie jej szukał. Znalazłam jeszcze to. – Podawała kobiecie list.

Wyraz twarzy signory Dutti zmienił się, gdy przeczytała imię na kopercie.

– Podejrzewam, że nie ma pani pojęcia, kim może być ta Elena? – Cesca zmarszczyła nos. – To znaczy, zdaję sobie sprawę, że... – przerwała, zauważywszy minę gospodyni: to była satysfakcja. – Zna ją pani?

Signora Dutti pokiwała głową i powoli podniosła rękę z wyciągniętym palcem, którym wskazała bladoniebieski cztero-piętrowy pałac usytuowany po przeciwnej stronie placu. Jego dwadzieścia cztery okna – po sześć na każdym piętrze – miały jasnobeżowe okiennice. Budowla nie wychodziła na ten mały placzyk, była obrócona do niego prawą stroną. Drzwi frontowe znajdowały się za rogiem, po stronie Piazza Angelica. W ciągu siedmiu miesięcy, kiedy tutaj mieszkała, Cesca ani razu nie widziała, by ktoś wchodził do tego budynku albo z niego wychodził. Okiennice – przynajmniej po tej stronie – zawsze były zamknięte.

– Ona tam mieszka?

Signora Dutti pokiwała głową, a w jej oczach zalśnił dziwny błysk.

– Tak, ona tam mieszka.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

PIĘKNA FASADA SKRYWA MROczne SEKRETY

Rok 1974. Bogata i urodziwa Elena w wieku 26 lat jest już po raz czwarty zamężna, gdy spotyka miłość swojego życia. Ale to jedyny mężczyzna, którego nigdy nie będzie mogła mieć...

Rok 2017. Cesca wiezie cudowne *dolce vita* w Rzymie, wprowadzając turystów po Wiecznym Mieście. Odnajduje skradzioną torebkę i zwraca ją właścicielce – wpływowej sąsiadce, wicehrabinie Elenie – która wciąga dziewczynę w swój skomplikowany świat. Kiedy jednak w tunelu biegnącym pod miastem zostaje znaleziony pierścień należący do Eleny, Cesca zaczyna podejrzewać, że kobieta ukrywa prawdę o sobie.



Nr 21000126

ISBN 978-83-8074-554-4



9 788380 745544



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł